DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

ŁWÓW 1 WRZEŚNIA 1841. Ner. 17. ROK DRUGI.

Wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca, do każdego numeru dołączone są dwie ryciny. Prenumerata wynosi we Lwowie półrocznie 5 złr. 15 kr., rocznie 10 złr.; bez rycin półrocznie 2 złr. 30 kr., rocznie 5 złr. Dla tych którzy pocztą ten dziennik odbierają dolicza się do powyższych cen za przesyłkę pocztową od jednego exemplarza półrocznie 48 kr., rocznie 1 złr. 36 kr. śrebr. Prenumerować można w kantorze Tomasza Kulczyckiego pod liczbą 301 w mieście, tudzież w krajowych i zagranicznych urzędach pocztowych.

MODY.

Stroje damskie. Jesteśmy w porze przejścia z lata w jesień, a jak zawsze tak i teraz ta pora najuboższa w nowości. Zanadto już pożno aby one miały w strojach letnich zachodzić; na jesień jeszcze przecie zawcześnie. Zatem wszystko prawie jak dawniej. Gdzieniegdzie tylko pojawi się jaka nowa forma, ale i to nie tak istotna nowość jak raczej tylko jaka nieznaczna a czasem i nienajpomyślniejsza odmiana.

Do takich półnowości należy naprzykład suknia z *poult de soie* perłowego, z gorsem równym wyłożonym, i garnirowanym rzędem niewielkich bufów; rękawy przy niej gładkie i także z bufami w górze; przód spodnicy garnirowany dużą falbaną, która idąc od stanu aż na dół a stąd znowu nazad do góry, tworzy podobieństwo fartuszka. — Druga suknia, lubo podobnego co tamta kroju, jest z białej wełnianej gazy, z różowem pod nią podszyciem, równym i dosyć otwartym gorsem; garnirowana zaś naokoło trzema tiulowemi falbanami, które czwarta ukośna, z różowej gazy przegradza. Cały ten rząd falban otoczywszy przód sukni w formie fartuszka, gubi się w stanie, a potem wznosi się znów ku piersiom i garniruje w formie V otwór gorsu.

Jedna z najnowszych sukień z *baréges* różowego miała wierzch gorsu gładki a dalej szeroką i podłużną wypustkę, która idąc z przodu i ztyłu gorsu aż po stan, otwierała się po obu stronach przy nim w kształt serca. Rękawy, z równie szerokiemi i aż do połowej ręki sięgającemi wypustkami, miały na samym łokciu wielką marszczoną bufę, a inne falbany służące za naramniki ściskały tąż bufę. Garnirunek stanowiły trzy rzędy poczwórnych fałdów, z których każdy jeszcze jedną korunką był obszyty.

Spencerki zawsze zarówno w modzie. Najpiękniejsze są z czarnego atłasu, obcisłe koło ramion, dosyć otwarte z przodu, z rękawami gładkiemi, garnirowanemi dwoma ukośnemi fałdami. Noszą się takie spencerki najczęściej na jasnoróżowych sukniach. Osobliwie młode osoby bardzo się dobrze w nich wydają.

Kapelusze używane najpowszechniej słomkowe, ubrane w białe lub czarne grona i wstążki z ciemnozielonego axamitu. Niemożna wymysleć nic ładniejszego nad to. Inne, z różowej gazy, są upięte korunką, która owinąwszy głowę w formie ślimaka spada wzdłuż twarzy aż ku spięciu. Po krysach wije się winne liście, przeplatając się rozmaicie z korunką. Kapelusze od negliżu najużywańsze z *poult de soie* zielonkowego, ozdobione po wierzchu małą liścianą girlandką z niebieskawego axamitu, a popod krysami jakim bukiecikiem z różanych pączków i różowych wstążek. Po krepowych i słomkowych kapeluszach widać obfite pióra najrozmaitszego gatunku od marabutów aż do piór *ibis* lub *barbican*. Nieustępują jednak i kwiaty. Owszem widzimy je teraz na schyłku lata nietylko wzrastające w ilość ale nawet i wielkość. Pokazały się takie, co mają po 50 centimetrów wysokości. Są z gronami, bujnem niezmiernie liściem, i nazywają się

hedichium. Zapewne to już tylko ostatnie przesilenie mody lata i kwiatów.

A czem bliżej jesieni tem coraz więcej gęste i przystrajane *czepeczki.* Najupodobańsze, czepeczki-*Pompadour,* ubrane w różowe wstążki i drobną girlandkę różowych hiacyntków; czepeczki *à la paysanne*, z różowego tiulu, ozdobione troistym rzędem jedwabnych korunek, gładkim z tyłu, marszczonym bliżej twarzy i małym bukiecikiem ułożonym z różeczki i gałązki wrzosu u boku; jeszcze czepeczki z niebieskiego tiulu, jedyną skośną niebieską falbanką i dwoma klotildami z bladoniebieskiej wstążki ubrane, — a wreszcie ładny stroik *papillon,* z korunki, z jasnozieloną wstążką, i jedną różą i gałązką leszczyny przy boku.

Stroje męskie równie żadnej odmiany niedoznały. Rycina dzisiejsza przedstawia mężczyznę w najnowszym ubiorze do polowania, i surdut na dwa rzędy guzików zapinany którego wyłożenie klapy kończy się u przedostatniej dolnej dziurki. Kamizelka pikowa mało otwarta. Spodnie średniej szerokości.

WYCIECZKA DO BERCHTESGADEN.

PRZEZ

WALENTEGO CHŁĘDOWSKIEGO.

Ciąg dalszy.

Chętnie puszcza twój duch tę myśl niepokojącą, a oko chwyta skwapliwie nowy przedmiot, który się mu przedstawia w królewskim potoku (Königsbach). Jestto wodospad *der nasse Holzsturz* zwany. Z wysokości 600 sążni, na której ledwie człowieka dostrzeżesz, rzuca się potok prostopadle po skalistej ścianie. Teraz własne tylko skąpe zasoby rodzinnego źródła niesie on w dani jezioru, rozpryśnięte w tysiąc promieni po chropowatej skale; lecz jakie osobliwe musi on przedstawiać widowisko, kiedy na wiosnę drzewo nim spławiają! Gdy zebrane ze śniegów i szluzami zamknięte wody królewskiego potoka puszczać mają z drzewem przez zimę przygotowanem, wieść o tem całą okolicę przebiega. Ciekawi widze zbierają się i szykują na przeciwległej stronie jeziora. Wystrzał znak daje do rozpoczęcia widowiska. I naraz zdaje się słyszeć zdala huk do grzmotu podobny; wstrzymana masa wód ciśnionych i własnym partych ciężarem wybucha przemożnie z rozwartej paszczy; na grzbiecie ogromnego łuku niosąc gromady kloców, ułamów skał i rumowiska pada wraz z niemi śród straszliwego łomotu, rozbijając się po wychyłkach skalistej ściany, w przepastną głębię jeziora. Siła upadku porusza do dna jezioro. Kipiące bałwany rzucają pianę i parę w daleki okrąg, a wody wzburzone naciskiem potoku i drzewa, piętrzą się jak gdyby burzą rozryte. Widok takiego wodospadu nie jest zaiste zwyczajny, a tem podziwniejszy, że wraz daje wyobrażenie wzburzonego morza. Te wodo- i drzewospady, byłto nadworny teatr prałatów, dawnych władców tej ziemi. Widowiskom tu uroczyście wyprawionym przypatrywali się oni, spoczywając na wygodnych łodziach, śród zdumienia i okrzyku ludu, jak rzymskie niegdyś imperatory igrzyskom na cześć Neptuna dawanym.

Jakże spokojnie, jak cicho! Widok zamknięty dokoła olbrzymiemi alpami, ograniczony na nich samych, na modrem niebie, na czarnem jeziorze. Ta samotność, ta uroczysta cisza mimowolnie melancholicznem chwyta cię uczuciem. Czemuż nie jestem malarzem, ażebym mógł zdjąć obraz tych pełnych znaczenia hieroglifów natury? Zda ci się, jak gdyby ta wszelkiego życia, wszelkiego istnienia twórczyni, niepojęta w potędze, nieodgadniona w zamiarach, uciekłszy się w tą cichą kotlinę jeziora, w samej sobie zatopiona, dumała nad wielkim, nieogarnionym pomysłem, z którym jeszcze człowiekowi zwierzyć się niemoże.

Jakże spokojnie, jak cicho! Ani się listek nie ruszy, ani rybka nie rzuci; nieznać na jeziorze, że to żywioł ruchomy; brzęk tylko muszki i plusk łódki słychać. Piękny motylu, gdzieżeś się tu zabłąkał? To obca, zgubna dla ciebie kraina. Rzuciłeś bespieczną łączkę, chcesz może w inną stronę lecieć? Nęci cię zapewne woń nieznanych ziółek, lub może przeczucie do pięknego kwiatka?.. Czyli go blask słońca, odbijający się w źwierciedle jeziora uwiódł, czy już mu sił niestało — padł i pod falą wiosła grób znalazł. Jakże często człowiek do tego motyla podobny!

Łódka wolniała w pędzie; sądziłem że moi majtkowie chcą z trudu wypocząć. Naraz staje łódka, a wioślarz chwyta skwapliwie za ruśnicę, obraca się do mnie, mówi z cicha: *a gams!* (Gemse) składa się,

mierzy — padł wystrzał.... odgłos piorunu odbija się o skały, i ginie, i znowu z przerażającym łomotem i hukiem wraca i grzmi znowu, i grzmi ośmkroć długiemi przerwami:

. . . . Rupesque lacusque
Responsant circa, et coelum tonat omne tumultu.

Prawdziwy i osobliwy to tumult. Stałem w zadziwieniu chwilę, przysłuchując się temu nadzwyczajnemu zjawisku. Gertruda, moja stara ale krzepka wioślarka, widoczną miała pociechę, że się jej udało, bo owa koza dzika jej była konceptem, tak niespodzianie tem dziwem mnie zająć. Wytaczając działo drugie, ów samopał bez kurka, zapytała dobrodusznie, czy ma jeszcze raz wypalić, czyli zachować ten wystrzał aż do powrotu? Niewiem, czylibym był z powrotem tyle ciekawy słyszeć powtórnie to akustyczne dziwo jak teraz, kiedy jeszcze wrażenie pierwszego strzału tak żywo tkwiło w uchu i pamięci mojej. Dałem to poznać, a Gertruda, jednego będąc ze mną zdania, zwinęła się jak najdoświadczeńszy artylerzysta. Skrzesała ognia, zażegła już gotowy kłaczany luncik, podsypała prochu na panewkę i wypaliła. Strzał był silniejszy od poprzedniego, silniejsze i rozbicie się jego o skały i trudno przyszłoby rozstrzygnąć, co jest godniejsze podziwu, czy ten huk łamiący się w dziwnych odgłosach i tylekrotnie w przestankach z równą wracający siłą, czyli te przeciągłe grzmoty, które jak gdyby z oddalającej się chmury pochodząc, kładły się powoli po odległych górach. Prawdziwie, nigdzie, nigdzie na całym świecie, tylko tu śród tego jeziora, w tych skałach, ma siedlisko swoje odwieczne ta córa powietrza i ziemi. Kto tu, na tem jeziorze, śród tych skał olbrzymich, echa niesłyszał, niewie co jest echo.

Łódka ślizgnęła dalej, a z nową zmianą dekoracii tego szanownego teatru natury, z nową i rozleglejszą jego scen widownią, łysnęły migotnie krągłe wieżyczki położonego u stóp krągłej alpy kościółka ś. Bartłomieja, patrona jeziora. Jakże ukryte, jak ciche i odosobnione obrał sobie apostoł mieszkanie, jak gdyby życie swoje chciał anachoretą zakończyć! W dniu jednak 24go sierpnia miejsce to samotne zapełnia się ludem z najodleglejszych okolic. Przez góry i alpy, z jarów i szczelin skalistych, gdzie ledwie źwierz bespieczną staje nogą, cisną się pobożni pielgrzymi, po jeziorze tysiąc łódek się kołysze, po łódkach i alpach brzmią nabożne pieśni, a echo je powtarza bez końca. W nocy palą się dokoła po górach rozłożone ognie, a jezioro blask ich w swojem źwierciedle odbijając, oświetla nim tę czarowną romantycznych scen widownię. Jakże wzniosłe w takiej chwili musi być religijne uczucie w sercach wiary pełnych, jak gorąco duch człowieka unosi się ku uwielbieniu tego, którego wielkością tak wymownie wszystko dokoła przemawia!

Gertruda, gadatliwsza od swojego męża flegmatyka, zajętego całkiem z chwalebną starannością wiosłem i kierunkiem łódki, o uroczystości ś. Bartłomieja bez końca umiałaby prawić, ale jakaś myśl nowa zatrudnia ją nagle, i jakgdyby sobie coś przypominając, steruje łódką ku brzegowi i pokazuje wyłom w nadbrzeżnej skale, w który woda jeziora zapada. Łakomo połyka ją otwór, a ta nagłość spadku i szum, który się z głębi dobywa, świadczą że zapada w podziemną pieczarę. Ten upływ jeziora, słusznie noszący nazwę czartowskiego młyna, ma być źródłem Szwarcbachu, który pod Golling z rozwartej skały silnie wybucha i tworzy tak piękny wodospad *). Niema w tem nic niepodobnego, skoro zważymy, że te wszystkie góry jezioro otaczające, są to masy wapienne, i że jedynie w skałach takiego szczególniej składu, znajdują się owe groty i pieczary które podziwiamy. Przy wschodnich brzegach tego jeziora widzieć się daje więcej takich nór i nad powierzchnią i pod powierzchnią jego, przez które wody odpływać i przypływać mogą. W wielu miejscach tych gór przyłożywszy ucho do ziemi, słychać szum podziemny, a owe dwa strumienie widoczne, Könibsbach i Schrainbach, pominąwszy parę innych zaledwie ciekawych, zdają się w swoim naturalnym stanie niedostarczać tyle wody, ile jej przy czartowskim młynie i Albą upływa. Czyli młyn czartowski jest źródłem gollinskiego Szwarcbachu, łatwoby się przekonać, upuściwszy Albą tyle wody z jeziora, aby jego powierzchnia niżej otworu stanęła. Niewiem dla czego przy tak łatwym a ciekawym sposobie przekonania się wszyscy tylko przy domysłach zostają.

Jużeśmy przebyli połowę długości jeziora. Z wielkiego krajobrazu, który się za mną przedstawia, już Untersberg usuwać się poczyna; ściany jeziora, coraz ściślej

*) Kto jedzie do Gastein, nieminie na stacii pocztowej w Golling tego wodospadu.

ze sobą się łącząc, to się z nim bratać, to go zpomiędzy siebie wypierać zdają; na przodzie, ponad zamek i kościółek ś. Bartłomieja wznoszą się skały Burgstallu, mając oko obcego wędrowca zwaliskami starych zamków, i wnet łódka, okrążając nadbrzeżne skały na lewo, stawia na widoku nader wdzięczne, sielską łagodnością przymilające się wybrzeże, które zieloną pierś swoją do jeziora przytula. Jestto tak zwana wysepka **Wallnera**, park może najmniejszy na świecie, ale zawierający piękności, któremi się i największe parki angielskie poszczycić niemogą. Na wstępie przyjmuje cię mały lasek klonowy w milutki przeistoczony ogródek. Pośród niego chodniki, ławki, stoliki; na urwisku skalistej ściany wisi w wysokości może pięćdziesięciu stóp pustelnicza chatka, z ułamów skał złożona, która w razie burzy wygodne kilku osobom może dać schronienie. Ten ogródek zdaje się być zaniedbany, odkąd nie jest prywatną własnością; ale też nie to co ręka ludzka tu potworzyła, tylko to co jest natury i położenia dziełem, stanowi piękności tego zakątka. Robiona ścieżka wprowadza w szczelinę skał stromych, coraz ciaśniej potokiem w górę. Ścieżeczka idzie kręto to po jednej, to po drugiej stronie potoka, którego szum zdala słyszeć się daje. Z różnych stanowisk różny na jezioro widok. W miarę, jak cię drożyna pomiędzy skały prowadzi, wychylają się z ich szczeliny czarujące widoki na alpy, na jezioro, odbijające malowne ich obrazy, każdy inny, w inną oprawny ramę. W jednym takim obrazie przedstawia ci się Watzman może z najpiękniejszego stanowiska: czoło porane śniegiem, szczyt piramidalny dumnie po nad bratnie wynosi skały, a głębiej po jego bokach wiszą śnieżne łąki i zdają się tworzyć stopnie, na jego grzbiet prowadzące. *c. d. n.*

Z KAMILLA

DRAMATU DOMINIKA MAGNUSZEWSKIEGO

Aktu 1 Scena 4.

Przyjaciele wchodzą wesoło. Służba nakrywa stoły. Ruch i brzęk szkła.

KAMILL.

Witam was, witam, kończmy zapoznanie,
Obchodźmy dzień ostatni mojego sieroctwa.
Alfredzie! tyś doczekał swojego proroctwa:
Zarzuciłem samotność w tej rodzinnej ścianie,
Brzękiem, wrzaskiem, kielichem chcę się z wami bratać,
W świat, w świat, w lubość, w roskosze latać, z wami latać.

JÓZEF.

Widzisz jakto krwi kropla humory rozpędza.
Mnie się śniło że Kamill będzie wołać xiędza,
Gwałtu doktora! Kamill fanatyk, spazmowy...
Dziś chwat Kamill, dziś oto osiągnął chrzest nowy,
O, bo życie Kamillu! dwoistej osnowy,
Zajrzałeś w jedno; na czczo drugiego nie wskaże.

ALFRED *wskazując na krzesło.*

Siadaj arcykapłanie, gotowe ołtarze.

WACŁAW *do wchodzącego doktora.*

I systema ludzkości niech miejsce zabierze.

Zaczyna się uczta.

JÓZEF *po chwili.*

Patrz, Wacław zwija prędko jak karty talerze.

ALFRED *z przymówką.*

Mnie bażant intryguje jak czarne domino.

JÓZEF *podaje mu kielich.*

Kamillu z nami!

KAMILL.

Piję.

JÓZEF *do doktora z uśmiechem.*

Wszak nie szkodzi wino?

DOKTOR *nalewając sobie.*

Może pić.

WACŁAW.

Grać.

ALFRED.

I kochać.

TYTUS.

Jak ojcowie nasi!

JÓZEF.

Zawsze coś z staroświecka nasz Tytus ukrasi,
I za każdem swem słowem jak bankier zza stoła,
Z ojcami jak z kompanią wyjeżdża do koła.

TYTUS.

Czy ci w przekor ojcowe wspomnienie tak wadzi?
Oni, co w strojach pyszni, na uczcie tak radzi,
Coby cię z pełnym zawsze gnali roztruchanem.

JÓZEF.

A, tak gadaj! rozumiem, o! takim organem
Z pradziadami naszymi umiałbym się zmierzyć;
I ich czyny uwielbiać, i w ich głowy wierzyć.

KAMILL *do służby.*

Podać stare kielichy!

JÓZEF *rozczulony.*

Dobrodzieju! zbawco!
Dajcie mi je, stuletnim nazwę cię łaskawcą!
Do miary murów zamku niech się miarka zrówna.
W tej sali, jak w oprawie starego foliału,
Niechajże nam rozświta stary czas pomału,
I wino niech w nim szumi, jak myśl w dziele główna,
I włos niech nam zbieleje przy wina zegarze;
Doktorze! gdybym wiedział że sto dni umaże
Z życia, za jeden puhar, piłbym trzy dni niemi;
Ssaniem jak komar dałbym pożegnanie ziemi.

DOKTOR *pijąc.*

Krewbyś rozegrzał, wnątrz spalił, oblicze skaleczył
Systematby wytrzymał, doktor resztę zleczył.

JÓZEF.
Brawo! to mi nauka; co mi krew, oblicze!
W tem doktor, wiwat doktor! *piją wszyscy.*

ALFRED.
Ja na piękność liczę.
Ja niepiję doktora zdrowia, aż mi powie
Czy można twarz odświeżyć?

DOKTOR.
Można.

ALFRED.
A więc zdrowie
I ja tobie poniosę. *pije.*

WACŁAW.
Oj! oj! gdyby karta
W ręku tak się posnuła, dziwna i uparta
Na szczęście, jak się nieraz nadarza po winie,
Jabym siedział w kielichu jak mucha w bursztynie,
Jabym ztasował życie w jedną gry iskierkę,
I całą dusze stawił w jedną poniterkę;
Bo grać to żyć!

JÓZEF.
Pić to żyć.

ALFRED.
Bo kochać....

JÓZEF.
Dziecinno!
Kochać, kobieta, dziecko! znasz-ty puhar, wino?
Znasz życie trunku, świat ten męzkości i wrzawy?
Kochać, to jedna z ulic życia, jak z Warszawy
Jeden kąt, jeden rynek. Chcesz wszystkie posiadać,
Wszystkie znać? to we wszystkich trzeba kroczyć,
władać.
Kamillu! tu początek, koniec nie daleki.
Jeśli uwięźniesz w łonie rozkochanej rzeki,
Kiedy cię jeden kwiatek jak powój opasze,
I każe wierzyć sercu że to wszystko nasze
Co się z ziemi należy, co się sercu godzi,
I znikniemy jak starcy, ale starcy młodzi.
Twoje domino czarne młodziuchny kolego,
To setny listek z drzewa złego i dobrego,
Pierwsze zaświgotanie ptaka, jak na wiosnę;
Ale przejdź całe życie, skończ życie miłosne,
To cię drugi wiek czeka, z rozgorzałem licem
Schwyci w ręce i szczęścia powita dziedzicem.
Jak tam w lubość, tu w zapas zkrzyżujesz ramiona,
Jak tam, tu ciebie zwita rozkosz upieszczona,
Tu prawdziwie z młodziana wyrośniesz męzkością,
Puharem lub szyderstwem spotkasz się z lubością,
Co się z młodu wkołysać tobie w duszę chciała,
I niepoznasz jej, tak się zmieni lubość cała.
I niezmamczy ci serca w dziewicze powicia,
Bo ty wstąpisz w wiek inny, męzki wiek użycia,
I staniesz jak atleta ku walce gotowy:
Śmiać się będziesz umysłem, śmiać zimnemi słowy
Z uczuć, bo te pączkami, ty już owoc zbierasz,
Bo one myśli rodzą, ty w czyny pozierasz,
Ty działasz, tyś polityk, historyk, tyś znawca;
Młodych swych towarzyszów rzucasz u latawca,
Niech go z wiatrem puszczają, bawią się, to mniejsza,
Tobie utkwiła w głowie myśl już rozumniejsza,
Myśl o sobie, i z siebie wylazłszy wysoko,
Jak z wieży zegar, bijesz im chwile wspomnienia;
Gdzie oni serce kładą ty tam kładziesz oko,
Gdzie oni łzy poleją ty ledwie westchnienia;
Jak wódz staniesz im w czole, oni dadzą czyny,
Krew, trudy, i zyskają rany; ty wawrzyny.
I będziesz większym od nich, poznasz w tej podróży
Przyjaciela co wiernie do zgonu ci zsłuży:
Ot, ten puchar pieściwsze rozciągnie ramiona
Jak kochanka, jak brat twój, jak siostra, jak żona.
Życie jak bankiet swe ci zastawy rozwinie,
Człowiek jak gość zproszony siądzie ci do stołu,
I będzie z tobą śmiał się i tańczył pospołu,
Jak mu zagrasz, jak każesz. Świat proste naczynie,
Co weń nalejesz, twoje; gdy przeszłość się wleje,
To ci Kamillu całe te wiekowe dzieje
Wskaże puhar, jak symbol swojego jestestwa:
Rzym stary, patrz, to Bachus winnego królestwa;
Gdzieś z Indii przywędrował, gronem kraje kupił,
Rzym-Bachus krew zapijał póki się nie upił,
I z gocką i z alańską niespotkał trzeźwością.
Upadł Bachus, lecz Gotów uścisnął miękkością,
I zwaliwszy się na ich ramieniu podpiły
Usnął, lecz mu się wieńce winogron ztoczyły,
I niemi, konający, swych zwycięzców zhaczył:
Got się rzucił na wino, i winem uraczył,
I powstał feudalnym panem z niewolnika;
I póty w świecie szumi, i z puhara łyka,
Póki go dziecię boskie nieoblało wodą,
I niezgodziło z światem powszechną swobodą.
Wówczas pieśń zmartwychwstania przeleciała kraje,
Pan w Kanie Galilei z wody wino daje,
I częstuje swą mocą ludzkość u ponika.

ZEMSTA W MASCE.

POWIASTKA.

1.

Tłumno było w redutowej sali: trzeciato czwartkowa reduta; najpyszniejsze i najbogatsze maski, mało niedzielnych tańczących gości; wszystko się do najlepszej zebrało zabawy.

Gdzie spojrzeć wszędzie skupiają się i rozchodzą różne grona, a za każdem zejściem tysiąc śmiechów, a za każdem rozejściem znów tyleż śmiechów. Tu doktor dawnej szkoły grzecznie podał receptę ładnej panience, a matce polecił reformę kuchni; tu znów pielgrzym powiedział historijkę o wschodniej modzie, a polecił skruchę słuchającej go wdówce. Tam na targ niesie wieśniak niedobrą żonę, a pyta po drodze poważnej jejmości o drogę; ówdzie znów tyrolki z kwiatami i cyganki z proroctwy...

Niekażdy jednak się śmieje. Niejeden, niejedna zaciśnie usta. Ale to maszkarada, wszystko tu mówić wolno!

I Władzio się nieśmiał, lecz płonił i gniewał. Trzy jakieś kobiece domina zaczepiły go baraszkującego w towarzystwie kilku przyjacioł i niedającego pokoju nikomu, maskom i niemaskom.

— Znam cię, mówiła najmłodsza, maleńkim paluszkiem grożąc Władysławowi. O znam cię trzpiocie!

— Skąd ładna masiu? wesoło zapytał zagadniony, bo miły był głos maski; nawet milszy od najmilszej rączki, którą mu tak groziła.

— O znam cię dawno, bardzo dobrze, pamiętasz przygodę twoją przed sześciu laty w mieście R*. Niegrzecznym był mąż pani N. za urazę swej żony. Dziwisz się? a widzisz! Czy to może tajemnicą? A biorąc go za rękę dodała: Lecz ja ci wywróżę więcej; bo, mój Władziu, tak się niegodzi!

I wzięła go za rękę a pokazując drobniutkim, okrąglutkim paluszkiem, zamyśliła się niby na chwilę, gdy tymczasem niecierpliwy i pomieszany Władzio zdawał się poznawać dotknięcie tej rączki drobniutkiej, okrąglutkiej.

— I ja cię znam masiu, znam twoję rączkę, i mimochcąc niby chciał usunąć rękawiczkę.

— A może! być łatwo może! lecz ja zdaleka, jam z róż krainy. Niezgadniesz Władziu, a przyszłam ukarać ciebie, bo się tak niegodzi.

Pierwszy raz w swojem życiu szukał Władzio odpowiedzi, i dlatego pewnie nieznalazł żadnej, a maseczka i jej towarzyszki chichotały zamaskowanym śmiechem, i głośniej, coraz głośniej żartowali przyjaciele Władzia.

— Niedawno pisałeś w imiennik; przyjaźń w nim zachwalałeś, a w domuś parodiował twe słowa. Mówił mi o tem twój Józio, bo i Józia znam, o! on lepszy chłopiec, jeśli ty go niepopsujesz. To się niegodzi! A z ładnej Malci, podniosłszy wachlarz, i słodząc jej tysiącem pieszczonych grzeczności, żartowałeś w biufecie, że umyśnie opuszcza to chustki, to wachlarze, że zalotna, to się niegodzi. Lecz niechcę cię tylko martwić, jeśli ci niemówię więcej; przecież to się niegodzi! Ale słuchaj, powiem ci dwie litery, zgadnij je, bo trudno ci to będzie trzpiotowi I szepnęła dwie litery w ucho Władziowi, a on się nato niby roześmiał; lecz biorąc ją za rączkę czuł widocznie nieznane mu dotąd pomieszanie, a słyszał w koło śmiechy to masek to przyjaciół.

— Pozwolisz mi bawić cię dzisiaj masiu?

— O dobrze! twoją szkodą chyba; o! ja ci cuda opowiem.

I już od tej chwili cały wieczór prawie był przy tych trzech dominach, i nieraz ukradkiem rączkę ładnego sędzi ucałował, bo choć go tyle pomieszały, umartwiły nawet przycinki maseczki, czuł przecie lubość jej rączki, a ostygłszy z kłopotu zawstydzenia innym rozpalił się ogniem. Z pod maski takie ładne dwoje czarnych ócz błyskało! a w tych oczach zdało mu się czytać jakieś pozyskane względy. Bo Władzio, jak go znamy, żyje z tą szczęśliwą wiarą, że go każda kochać musi, że mu się żadne serce oprzeć nie potrafi, i istotnie, piękny, młody i bogaty na wszystkich zabawach wszystkie bałamuci panie, a po zabawie wszystkie obmawia, i grzeczności każdej niegodnie tłumacząc, ze szkodą młodych dziewcząt liczy triumfy swoje.

Takim jest Władysław. Brzydka to i szkaradna wada, a przecież panny dlań grzeczne, bo on duszą wszystkich prawie salonów, wyrocznią dobrego gustu i tonu. Niejedna z próżności, niektóra z szczerości lubi jego siwe oczy i bląd loki i piękną figurę, lecz niejedna w duszy nienawidzi złośliwogrzecznego panicza.

Przyjaciół niby to wielu ma, lecz żadnego szczerego. Próżność i pustota zbiera w koło niego licznych salonisiów, z których rozsądniejsi brzydzą się nim, a głupsi mu zazdroszczą, a najgłupsi podziwiają.

Temu też wszystko rade z przygody dzisiejszej Władysława. Lecz on w próżności swojej zapomniał wszystko, a czuł tylko rączkę maseczki w swym ręku. Może kryje zdradę jaką, grzecznie jednak pieści te trzy domina, to zimnym cukrem cukiernika, to gorącym cukrem swojej salonowej wymowy.

— Lecz ja was moje masie poznam, choć zdaleka. Jam taki dobry, ciszej dodał najmłodszej maseczce.

— Zobaczymy; popraw się pierwej. Ale jeżeli nas chcesz poznać, proś tej masi, ona tylko pozwolić może.

Władzio całą swą wymowę zwrócił do starszego domina, pewnie mamy tej ładnej maseczki.

— Jutro będziemy, rzekła stłumionym głosem jak się zdaje mama, jutro będziemy w kościele *** po południu; będzie tam ślub jednej nam znajomej, tam nas zobaczysz. Poznasz tę małą maseczkę po zielonej sukni; barwa to miła panie Władysławie dla skruszonego grzesznika.

— Nie ciężkie grzechy, a ciężki żal i temu piękne będzie mi niebo moje.

W takiej rozmowie szli dalej różnemi kierunki po sali, i niejedna poboczna była

z maskami i niemaskami rozprawa; podczas gdy rozmarzony Władysław, pięknej swej masi służąc, triumfująco mrugał swym przyjaciołom.

— Jutro się widzieć będę; więcej przecie niezobaczę, niż ile dzisiaj widzę, bo duszy oko jaśniej patrzy. Luba masiu, a czy mi jutro dasz ucałować twą rączkę tak jak dzisiaj?

— A czyż co w masce wolno, wolno i bez maski?

— O wolno masiu! Ja od razu przeczułem ciebie, i temu niewinne trwogi moje.

— O ładny kłamco, dziś ci wolno to mówić; ale oddaj mi mój pierścionek, na coż mi go wziąłeś?

— Jutro ci go zwrócę, zwrócę uświęcony tysiącem pieszczot, a długą tęsknotą do jutra.

Tak sobie młoda rozkochana para przymawia, gdy oto poważniejsze domino prosi Władzia, by dał im słowo, że do jutra niebędzie dowiadywał się o nich, i spokojnie odjechać im pozwoli.

Wątpiąc czy tego dotrzyma obiecał, a gdy się za chwilę pożegnali, dotrzymał, bo ledwie opuscił trzy domina, już go obstąpili jego przyjaciele, i nim się uwolnił od nich, odjechał już powóz z dominami.

Wrócił i swobodnie jak nigdy napaścił w koło, a niby niechcący pokazywał pierścionek, i w biufecie z próżności wygadał swe triumfy a obgadał ładną masię.

Lecz kto ona?... jutro na ślubie jakimś... jutro się pozna, poznają ją wszyscy jego towarzysze i dopiero wtedy triumf będzie doskonały dla Władzia, a niewczesny żal dla biednego dziewczęcia.

2.

Istotnie jakiś będzie ślub w kościele ***; bo choć niby nieumyśnie otworzył kościoł zakrystian, kilka kapelusików wemknęło się już w ławki i kilku młodzieży stanęło poza ławkami.

I coraz już więcej kapelusików, i młodzieży. O! bo wieść o ślubie szybko obleci dziewczęta, i ładnie w tak uroczysto-wesołej chwili przyglądać się tęsknym twarzyczkom dziewcząt; więc temu już dużo dziewcząt i młodzieży.

W ostatniej ławce siedzą dwie niemłode kobiety. Znamy je ze spacerów i powieści. Bogate pannice, niegdyś jak soczewki palące zbierały promienie salonów w koło siebie; dziś niewcześnie żałując przewytwornych swych gustów, jak soczewki rozrzucające rozrzucają złamane w ich duszy obmowy, i jak dwa sfinxy strojne w perły, sygnety, biczem młodych dziewcząteк. One liczą wszystkie miłostki i niezgody małżeńskie; one wyliczą wam wszystkie grzechy miasta; same już zabespieczone przed grzechem, o! bo i grzech tylko ładne dzieci lubi.

— Ale proszę cię Karolciu, jak to oni inkognito mieć chcą.

— Nibyto; znamy przecie matkę panny Zofii; pyszna ze swego zięcia.

— Daj boże aby inkognito było ich szczęście domowe, bo to ta Zofia choruje na jakieś czułości. Przypominasz jak długo nigdzie niebywała.

— O dobrze, lecz co nam do tego, ja jej niezazdroszczę; niech tam idzie za mąż, tylko mi żal jej że taka jeszcze młoda.

— A czyto niewiesz jak to dziś się dzieje! co Zosia, toby jeszcze pare lat mogła się uczyć.

— Dopiero ma dwudziesty rok.

— Ej ma już więcej. Przecie jak się we Władysławie kochała, będzie już ze cztery lata, a wtedy już dorastała panna.

— Prawdę mówisz, a to niezgrozaż to była! Nabić sobie głowę nim aż chorowała prawie. Przecie słyszałaś co Nancia pokojowa nam mówiła. On zwyczajnie pustak, jak każdej, schlebiał i jej, i my mamy go w imiennikach, a ona oszalała zaraz, i kryła tylko w sobie, i przepłacała zdrowiem. Oh boże! tak to dzieci teraz prowadzą!

— A gdzie oni teraz mieszkają? podobnoś tu niedaleko w swej wiosce.

— Tak duszko, wrócili z kąpiel i widać zapomniała Zosia Władysława, skoro idzie za mąż. Ale patrzajno tam, dodała ciszej i skromniej, pan Bonawentura lornetuje nas, co sądzisz o nim?

— Już w wieku; ale w tej peruce dobrze mu jeszcze.

— A on ci schlebia, o, ostrożnie duszko z nim.

— A tobie pan Michał, tylko żona niech się dowie; oj, babaż to! mogłaby już raz statkować.

— Lecz oto patrz, Władysław! sprośmy go do siebie. *Bon soir monsieur!* Kogoś on szuka, może nas którą...

I Władzio to był; ten sam co wczoraj, wystrojony, wyfrakowany, i, w białych rękawiczkach z flakonikiem, zbliżył się do naszych dam znajomych, bo to bogate panny,

i zdala znów mrugnął na przyjacioł, ale coś kwaśno.

— Jakże dawno niemiałem szczęścia widzieć pań! Mogęż się spytać jak się panie mają?

Bien merci; obie uprzejmym głosem oddały; dobrze, dobrze.

— Ale czyjżeto będzie ślub?

— Zgadnij pan! osoby miłej mu niegdyś...

Wtem zajechały karety, rozmowne damy obróciły się ku drzwiom kościoła, Władysław ukłonem ich pożegnał, i pobiegł tam; bo noc całą myślał o pięknej maseczce, a tu cały czas szukając, ani śladu zielonej sukienki, a tu jego towarzysze, parlamentarze jego sławy... Już, jak to modny język gada, zdekoncertował się nasz Władzio, i żal mu było poniekąd świeżych rękawiczek, potniejących w trwodze oczekiwania. Lecz cóż dopiero, gdy rozciekawiony przymówką siostr-sfinxów, spostrzegł że to ślub Zosi, bogatej, młodej i ładnej panny, którą on byłby podobnoś serdecznie i stale kochał, gdyby ciszej mu było na salonie, którą on może kochał nawet tej chwili, jeśli nie miłością to zazdrością salonisia, wierzącego, że tylko jego kochać można, i bez niego iść za mąż nie można; osobliwie Zosi, Zosi, która tak uprzejmą była dla niego.

I ileż więcej piękna dzisiaj niż kiedy!.. Niebywała tak długo nigdzie... kiedyż wróciła?... A ten młody ładny, dobrze ubrany jej narzeczony, kto on?... Milion myśli i przykrych uczuć zatarły w nim pamiątkę wczorajszego wieczora, reduty, i dzisiejszego zejścia się. Powysiadały pary, migła wśród nich i zielona sukienka, lecz niepostrzegł Władysław. Zebrano się przed ołtarzem, i Władzio tam poszedł także, a przy Władziu tłum elegantów przyjacioł.

— Władziu, *regardez,* zielona sukienka!

— A tak, prawda; zapomniałem prawie, lecz to być nie może; to jakaś panna pokojowa widać, trzyma płaszcz Zosi.

— A może, odrzekło mu kilku z jego grona, ale ładna przecie.

Władzio zamyślił się znowu; jakaś go widać skrucha opanowała; gdy wśród tego zamyślenia zagryzł szkaradnie wargę, tak brzydka myśl przeszła mu przez głowę. Podniósł oczy, pojrzał ku państwu młodym, a tu wszyscy patrzą na niego. Z dziwnym uśmiechem lekki ukłon posłala mu Zosia, zanią jej matka i całe grono około niej. Zbladł prawdziwie i wszystka efronteria kawalerska niepomogła mu wcale. Czuł że mu niedobrze, że blada dopiero twarz teraz płonie, o, bo mu się zdaje, że przeczytano na jego czole tę myśl na którą zagryzł wargi.

Lecz przyskoczył grzecznie do panny młodej a komplimentując ją bezprzytomnie,

I tak, mówił, znajduję panią z wiankiem, który pani do twarzy lecz mnie nie ku swobodzie... Dawno pani niewidzieliśmy...

— Ja pana wczoraj widziałam. Byłyśmy z mamą na reducie, ale dla lepszego inkognito wzięłyśmy i pokojowę, i w trzy domina byłyśmy razem. O panie Władysławie! chodziliśmy razem, i obiecałyśmy panu dać się poznać dzisiaj, i tu masz pan podobnoś zwrócić jeszcze pierścionek mojej Julci! O, ona była szczęśliwą wczoraj.

— Prawdziwie niewiem... żartujesz pani.

— Julciu, mrugnęła piękna panna młoda na dziewczynkę w zielonej sukience, pokłoń się panu i proś o twój pierścionek, by się twój narzeczony niedowiedział o naszym ostatnim żarcie.

Władysław niewiedział co począć, stał jak skamieniały, lecz wiecie co na jego twarzy było? — śmiech, ale śmiech, jak tego dziecka co mu wśród plag śmiać się każą.

Tymczasem na szczęście Władzia dały się słyszeć organy, zaintonowano *veni creator*, pan młody postąpił z Zosią do ołtarza, gdzie przed modlących przyszedł już xiądz aby młodą, piękną, kochającą się parę pobłogosławić.

Siostry-sfinxy słyszały wszystko, bo one stawają jakby *ex officio* zawsze przy samym ołtarzu, aby deszyfrować wyraz twarzy wszystkich nowożeńców. Dziś jednak byłyby poszły z gniewem do domu, bo dwie jasne pogodne twarze modliły się wśród aktu religijnego, gdyby niezyskały na odkryciu dziwnej, półjasnej im dopiero tajemnicy Władzia z panną pokojową.

Władzio wyszedł nieczekając końca ślubu z kościoła, wziąwszy pod boki jednego z towarzyszy; lecz póki żyć będzie niezapomni on wstydu, wynikłego z zemsty ładnej Zosi, wstydu, który radbyby z całej duszy ukryć, lecz o który pobożne siostry sfinxy postarały się na drodze sekretów, że za dni pare wiedział o nim tylko „wójt i gromada".

M. S.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.